



### Kobiety od kuchni (Wszystko o kobietach)

Czy spektakl zamykający sezon teatralny w danej instytucji powinien być postawioną z impetem „kropką nad i” tegoż sezonu, czy też lepiej aby miękko i delikatnie wprowadzał już w klimat letniego, bezproduktywnego lenistwa? Piotr Bikont, reżyserując w Teatrze Nowym w Łodzi *Wszystko o kobietach*, najwyraźniej zdecydował się na opcję pośrednią.

Bikont stworzył spektakl o frapującej tematyce, intrygującym tytule, z niezwykle ciekawymi chwytami teatralnymi i z fantastyczną obsadą, która doskonale sprawdziła się w takiej formule. Pozostał wierny tekstowi Miro Gavrana, którego akcja dzieje się w Chorwacji i chociaż bez wysiłku można ją zuniwersalizować i przenieść w polskie realia, reżyser nie widział takiej potrzeby. Zgodnie z oryginałem, nadał mu także charakter komedii, co z jednej strony gwarantuje kasowy sukces, ale z drugiej niesie ryzyko, że ważne pytania o istotę kobiecości czy szerzej - sedno człowieczeństwa - zginą pod naporem formy. I tak na szczęście (dla teatru) moja pierwsza prognoza sprawdziła się, a na nieszczęście (dla mnie) druga również okazała się częściowo słuszna.

Akcja sztuki toczy się w zawrotnym tempie. Składa się na nią kilka scenek, w których te same trzy aktorki wchodzą w odmienne role, poczynając od dziewczynek w przedszkolu, poprzez przyjaciółki z pracy czy skłócone siostry, a kończąc na mieszkankach domu spokojnej starości. Postaci z poszczególnych epizodów pozostają ze sobą w różnego rodzaju relacjach, ich drogi splatają się, co z fabularnego punktu widzenia pozwala płynnie poprowadzić akcję, dla widzów z kolei jest kluczem do odnalezienia się w tym szaleństwie bohaterek i ich perypetii. Każdej z nich przypisana jest stereotypowa cecha, którą można nadać każdej kobiecie w określonym wieku, o sprecyzowanej sytuacji rodzinnej, w konkretnej sytuacji zawodowej czy społecznej. Owo bazowanie na utartych opiniach odjęło spektaklowi polotu. Bo ileż razy słysząc o babskich wieczorach przy komediach romantycznych i winie, wyobrażaliśmy sobie kobiety z maseczkami z ogórka na twarzy, pochłonięte plotkowaniem o tym, kto, z kim i na czyim biurku? Ile razy obserwując sukces kogoś innego, skomentowaliśmy to w złośliwy sposób nawiązujący do kondycji moralnej tegoż? Ile razy przedrzeźnialiśmy babcię (albo

byliśmy świadkami takiego zachowania), śmiejąc się z tego, że jest głucha i ma sklerozę? Pod tym kątem przedstawienie nie zaskakuje. Znajdziemy w nim wszystkie wymienione sytuacje i jeszcze sporo innych, które bez znajomości dramatu każdy z nas mógłby wskazać w oparciu o własne doświadczenie. *Wszystko o kobietach* oscyluje wokół wszystkiego, co już zostało na ich temat powiedziane, wnosząc do dyskusji niewiele więcej. Sam reżyser podkreślał jednak, że przedstawione historie są proste i banalne, a główny punkt ciężkości położył na formę, w jakiej zostały one przedstawione. Jeśli zatem widz zbyt szybko rozgryzie formę, czeka go kolejne kilkadziesiąt jałowych minut.

Jałowych pod względem fabularnym, natomiast fantastycznych aktorsko. Joanna Fidler, Katarzyna Żuk i Mirosława Olbińska mistrzowsko żonglują rolami i najwidoczniej doskonale czują się w każdej z nich, bo nie sposób wskazać tej, w której wypadłyby najstabiej. Każda z aktorek rewelacyjnie daje sobie radę zarówno w scenach stricte komediowych, jak i bardziej obyczajowych czy dramatycznych. Tych pierwszych, jak na komedię, nie ma zresztą we *Wszystkim o kobietach* aż tak wiele. Jest to jednak humor wyrafinowany, stonowany, nie obrażający ani widzów, ani kobiet, z których się śmiejemy. Często zasada się on na wspomnianych już stereotypach, co akurat w moje poczucie humoru nie trafia, ale obserwując widowie, odniosłam wrażenie, że w poczucie humoru większości społeczeństwa owszem. Niestety, najczęściej do moich uszu dochodziły salwy śmiechu nieoznaczające refleksji nad tym, że śmiejemy się z siebie i swoich mniemań o świecie i ludziach, ale zdradzające raczej identyczny stereotypowy światopogląd i radość z tego, że można go z kimś współdzielić. Co więcej - ów światopogląd głoszony jest z teatralnej ambony, więc musi być słuszny i dobry. Wśród polskich widzów (może powinnam raczej użyć określenia „łódzkich widzów”, ponieważ sytuacja w pozostałych ośrodkach teatralnych może znacznie odbiegać od tej z łódzkiego podwórka) pokutuje przekonanie, że idąc do teatru na komedię, będziemy mogli „odmóżyć się”, że niesie ona łatwą, przyjemną, niewymagającą wysiłku intelektualnego rozrywkę. Dla odprężenia pośpiewamy wspólnie z aktorami *Rypcium pypcium*, a przez następne dziesięć minut będziemy się z tego zaśmiewać, ku rozpaczy siedzących obok osób, które oczekują od teatru czegoś więcej. Bo *Wszystko o kobietach* może dostarczyć uważnemu widzowi tego „czegoś więcej”, jednak w polskich realiach, gdzie pojęcie autoironii jest omijane szerokim łukiem, wymaga dużo skupienia i cierpliwości.

*Wszystko o kobietach* zostało zrealizowane z chirurgiczną precyzją. Kolejne sceny idealnie do siebie pasują, aktorki perfekcyjnie przemykają z jednej roli w drugą, pomysły inscenizacyjne Bikonta wprawiają w zachwyt (scena realizacji słuchowiska radiowego czy ta w japońskiej herbaciarni), ale aby docenić ów majstersztyk, trzeba na niego spojrzeć szerzej niż jak na zwykłą komedię. Uświadomienie sobie, z czego się śmiejemy, pozwoli nam uszanować i docenić zarówno wieloznaczny tekst Gavrana, jak i wielowarstwowe dzieło Bikonta i trójki fantastycznych aktorek.

Sandra Kmieciak

teatralia.com.pl  
25 września 2013